

# Goniec

ZAMOYSKI



# Redakcja



**KAMILA PERKOWSKA**  
REDAKTORKA NACZELNA



**MAŁGORZATA WARZYWODA**  
AUTORKA „PARĘ WSPOMNIEN...”



**MICHAŁ DENIZIAK**  
OPIEKUN REDAKCJI



**JAGODA DRZEWIECKA**  
AUTORKA OKŁADKI



**AGNIESZKA MITURA**  
OPIEKUNKA REDAKCJI



**MARCEŁ RUSIN**  
AUTOR „DAJ SE SPOKÓJ – WYWIAD”



**MARIA JECHNA**  
ZASTĘPCZYNI REDAKTORKI NACZELNEJ,  
AUTORKA „INFORMATOR OD PREZY-  
DIUM SU”

**PAWEŁ KUPISZ**  
AUTOR „OD MASZYNY DZIEWIAR-  
SKIEJ DO SMARTWATCHA – CZYLI  
KRÓTKA HISTORIA KOMPUTERÓW”



**EMILIA TOŁWIŃSKA**  
ZASTĘPCZYNI REDAKTORKI NACZELNEJ,  
AUTORKA „PROTESTY ROLNIKÓW”

**PASOŻYT**  
AUTOR „CZERWONE DŹDŻOWNICE”



**ZOFIA KOSTRZEWA**  
GŁÓWNA GRAFICZKA



**WERONIKA RZEWUSKA**  
KOREKTA



**ALEKSANDRA ZIMOLZAK**  
OPIEKUNKA STRON INTERNETOWYCH



**ALEKSANDRA SZLACHCIAK**  
AUTORKA TEKSTU ORAZ GRAFIKI  
„STREFY DYSKOMFORTU” ORAZ  
TEKSTU „OZIĘBŁOŚĆ DUCHA”

# Spis treści

---

WSTĘP	<u>4</u>
INFORMATOR OD PREZYDIUM SU	<u>5</u>
DAJ SE SPOKÓJ – WYWIAD	<u>7</u>
PROTESTY ROLNIKÓW	<u>8</u>
OD MASZYNY DZIEWIARSKIEJ DO SMARTWATCHA – CZYLI KRÓTKA HISTORIA KOM- PUTERÓW	<u>10</u>
PARĘ WSPOMNIENÍ...	<u>12</u>
OZIĘBŁOŚĆ DUCHA ~ HIERONIM SMUTNY	<u>14</u>
STREFY DYSKOMFORTU	<u>19</u>
CZERWONE DŹDŹOWNICE	<u>21</u>
ZŁOTE USTA	<u>23</u>

# Od redakcji

„W marcu jak w garncu” – głosi dobrze wszystkim znane polskie przysłowie. Z kolei powiedzenie dotyczące następnego, a także obecnego miesiąca brzmi: „Kwiecień plecień, bo przeplata trochę zimy, trochę lata”. Inspirując się tymi jakże adekwatnymi porzekadłami, przychodzimy do Was z kolejnym numerem „Gońca Zamoyskiego”, w którym również, tak jak we wspomnianym już wcześniej garncu, zmieściło się trochę wszystkiego.

Już na pierwszych stronach Gazety możecie znaleźć „Informator od Prezydium”, w którym przewodnicząca naszej szkoły zdaje raport z akcji przeprowadzonych przez samorząd przez ostatnie kilka miesięcy. Jednak nie tylko jego członkowie prężnie działają w Zamoyskim – w tym numerze możecie przeczytać również wywiad z kilkoma naszymi uczennicami, które realizują projekt „Daj se spokój” w ramach olimpiady Zwolnieni z Teorii i szerzą tym samym wiedzę o zdrowiu psychicznym dzieci i młodzieży. Na uwagę zdecydowanie zasługuje również refleksyjny tekst „Parę wspomnień”, w którym Gosia Warzywoda opowiada o Zamoyu z perspektywy maturzystki, artykuł „Protesty Rolników”, dotyczący obecnej sytuacji politycznej w Polsce, czy np. opowiadanie „Oziębłość Ducha”, które w tym roku zdobyło Pióro Zamoyskiego. A to nie wszystko! No i, oczywiście na ostatniej stronie czekają na Was ukochane przez wszystkich Złote Usta!

Dużo wiosennego słońca

I przyjemnej lektury

Życzy Redakcja wraz z Naczelną,

Kamila Perkowską

## KONTAKT:



goniec\_zamoyski



Goniec Zamoyski



goniec.dysk@gmail.com



Drodzy Uczniowie!

Jako wasi przedstawiciele powinniśmy działać w pełni jawnie, dlatego postanowiliśmy informować Was o podejmowanych przez nas działaniach nie tylko poprzez social media, ale także w „Gońcu”. Poza podsumowaniem naszych ostatnich osiągnięć postaram się odpowiedzieć również na pytanie, czym właściwie jest działalność samorządowa w szkole i jakie ma ona zalety.

Zacznijmy od krótkiego przeglądu samorządowych wydarzeń obecnej kadencji. Tuż po wyborach wysłaliśmy Wam ankietę, w której określiliście, jakie są Wasze priorytety. Dzięki temu wiedzieliśmy, czym powinniśmy się zająć w pierwszej kolejności. Kilka dni później zorganizowaliśmy pierwszą zabawę okolicznościową, czyli wróżby andrzejkowe. Byliście tak zaangażowani, że zajęło to niemal wszystkie przerwy – cieszymy się, że ten pomysł przypadł Wam do gustu. Następnie odbyły się dwa wydarzenia świąteczne – dzień tematyczny 18 grudnia oraz konkurs piosenki świątecznej. W krótkim czasie powrotu do szkoły między Nowym Rokiem a feriami odbył się z naszej inicjatywy drugi dzień tematyczny pod hasłem „Przebierz się za swój profil” – bardzo cenimy kreatywność, którą wtedy pokazaliście. Po dwóch tygodniach wolnego wróciliśmy z wachlarzem wydarzeń walentynkowych: w tym roku poza tradycyjną pocztą walentynkową mieliście okazję wysłać e-walentynki oraz kartki bliskim z innych szkół dzięki poczcie międzyszkolnej. Wszystkie kartki (także te elektroniczne) zamoyskie amorki rozdały Wam 14 lutego. Również w lutym odbył się pierwszy od kilku miesięcy wieczór filmowy, na którym mogliście obejrzeć „Shreka” oraz „Szybkich i wściekłych”. Filmy wybraliście w udostępnionej wcześniej ankiecie, dlatego mamy nadzieję, że udało nam się sprostać Waszym oczekiwaniom. Tyle już udało nam się zrobić, nie znaczy to jednak, że spoczniemy na laurach. Mamy dużo pomysłów na eventy, które można zorganizować. Przedstawimy je Wam już niebawem. Stay tuned!

Jak wygląda działanie w samorządzie szkolnym? Zacznijmy od tego, że samorząd stanowią wszyscy uczniowie szkoły. Tak brzmi jeden z pierwszych zapisów Regulaminu SU, który obecnie dopracowujemy. Wprowadzone zmiany sprawią, że ten ważny dokument będzie bardziej przejrzysty, a my będziemy mogli działać sprawniej. Aktywnym w samorządzie można być na różny sposób: zgłosić swój pomysł na zorganizowanie jakiejś akcji na forum klasy albo zwrócić się z tym do Prezydium, być w trójce klasowej lub w Prezydium Samorządu Uczniowskiego. Ta ostatnia forma jest najbardziej sformalizowana – Przewodniczącego oraz Członków Prezydium wybiera się w ogólnoszkolnych wyborach, które poprzedza debata. Osoby będące w Prezydium skupiają się na realizowaniu obietnic złożonych w czasie kampanii wyborczej, formułują opinie, o które prosi Dyrektor, pomagają przy organizowaniu różnych szkolnych wydarzeń (np. akcji wolontariatu czy Dnia Kandydata). Jakie zalety ma działanie w samorządzie uczniowskim? Myślę, że najważniejsze jest poczucie sprawczości, które towarzyszy każdemu zrealizowanemu działaniu, świadomość, że robi się coś dobrego i pożytecznego dla społeczności, w której spędzamy większość dnia, oraz możliwość wprowadzenia w szkole zmian, które uważa się za potrzebne. Każdy znajdzie w takiej formie aktywności coś dla siebie!

# Dzień tematyczny

„Przebierz się za swój profil”



# Walentynki





# Daj se spokój - wywiad

Marceli Rusin

„Daj se spokój” to projekt realizowany w ramach projektu Zwolnieni z Teorii przez uczennice naszej szkoły: Edytę, Alicję, Aleksandrę, Julię i Kalinę. W rozmowie z dziewczynami Marceli Rusin zapytał je o ich działania, cele oraz plany.

**Co oznacza nazwa „daj se spokój”?**

Nazwa nawiązuje do słów, które nierzadko usłyszeć mogą nastolatki, kiedy próbują porozmawiać o swoim złym samopoczuciu. Jest ona reinterpretacją typowego znaczenia tego zwrotu, które kojarzy się z bagatelizowaniem i umniejszaniem problemu. Danie sobie spokoju, w naszym ujęciu, ma oznaczać pozwolenie sobie na przezwycięzenie złego samopoczucia, odnalezienie sposobu na to, by odzyskać wewnętrzną równowagę.

**Skąd pomysł na projekt?**

Mimo że temat ten z roku na rok jest poruszany coraz częściej, to społeczna świadomość dotycząca tego, jak poradzić sobie w trudnych momentach bądź kryzysach emocjonalnych, nadal pozostaje niewielka. Przeprowadziłyśmy ankietę wśród uczniów szkół średnich w Polsce, z której wynikało, że znaczna większość z nich nie wiedziałaby, jak się zachować w przypadku, gdy ktoś z ich otoczenia zmagalby się z tego typu problemem. Ponadto, duża część z nich zadeklarowała, że zdarzyło się, że zły stan ich zdrowia psychicznego został sprowadzony do kwestii mało istotnej. Pokazuje to, jak wiele trzeba jeszcze zrobić w kwestii samego uświadamiania społeczeństwa w tym temacie.

**Jaką działalność prowadzicie?**

Dotychczas prowadzimy działalność w social mediach, głównie na Instagramie, gdzie na podstawie artykułów naukowych, badań i opinii ekspertów przekazujemy rzetelne informacje z dziedziny psychologii i psychiatrii w prostej i zrozumiałej formie. Zaczynamy współpracę z innymi organizacjami i projektami, które skupione są wokół tematyki zdrowia psychicznego i zamierzamy wspólnie działać na rzecz rozbudzenia świadomości dotyczącej tego problemu.

**Jakie macie plany na przyszłość?**

Jak już wspomnieliśmy, jesteśmy na etapie rozpoczynania współpracy z organizacjami o podobnych do naszego projektu celach. Chciałybyśmy, aby punktem kulminacyjnym stały się warsztaty, które przeprowadzimy dla uczniów warszawskich liceów oraz innych organizacji młodzieżowych. Dotyczyłyby one metod radzenia sobie ze stresem, złym samopoczuciem i rozpowszechniały wiedzę o miejscach, w których można uzyskać profesjonalną pomoc.

**Wasz projekt uzyskał w ostatnim czasie patronat honorowy Młodzieżowej Rady Miasta St. Warszawy. Jak myślicie, czy ta współpraca przyniesie Wam korzyści?**

Liczymy, że współpraca ta przede wszystkim przyniesie korzyści beneficjentom naszego projektu, których dzięki niej będzie więcej. Naszym głównym celem jest dotarcie z rzetelnymi, naukowymi źródłami do jak największej grupy odbiorców.





**Emilia Tolwińska**

## **Protesty rolników**

„Co się dzieje?”

To pytanie mogą zadawać sobie osoby, które przechadzając się ostatnio ulicami Warszawy dostrzegły protestujących rolników. Aby dostać odpowiedź na to pytanie, trzeba zrozumieć ich motyw. Protesty rolników, które objęły wiele państw UE, są wyrazem głębokiego niezadowolenia z obecnej sytuacji w rolnictwie. Sprzeciwiają się oni wyzwaniom, które zagrażają stabilności ich działalności i przyszłości europejskiego rolnictwa.

Przyczyny to głównie rosnące koszty produkcji, a co za tym idzie, spadające zyski. Sektor rolny boryka się z konsekwencjami ataku Rosji na Ukrainę, co doprowadziło do zwiększonego eksportu ukraińskich produktów rolnych do UE. Blokada portów na Morzu Czarnym i Morzu Azowskim zmusiła Ukrainę do szukania nowych dróg eksportowych, co skutkowało zwiększonym napływem ich produktów na polski rynek, prowadząc do spadku cen skupu polskich towarów. Rolnicy sprzeciwiają się też nowym przepisom europejskiej Wspólnej Polityki Rolnej, które wspierają Zielony Ład. Chodzi o wprowadzenie bardziej ekologicznej i mniej emisyjnej produkcji poprzez stosowanie odłogowania gruntów, redukcję użycia nawozów i środków ochrony roślin o połowę, obowiązkowe przeznaczenie 25 proc. areału ziemi pod uprawy ekologiczne.

Z tych powodów w Polsce 6 marca odbył się protest, w którym ostatecznie udział wzięło ok. 30 tysięcy osób. Większość protestu, który polegał na przemarszu spod Kancelarii Premiera pod Sejm, przebiegła spokojnie, ale w docelowym miejscu część rolników starła się z policjantami. Funkcjonariusze zostali m.in. obrzuceni kostką brukową. Policja odpowiedziała na to gazem łzawiącym i granatami hukowymi. Jak podała Komenda Stołeczna Policji, rannych zostało kilku funkcjonariuszy. Marszałek Sejmu Szymon Hołownia potępił biorących udział w zamieszkach manifestantów i podkreślił, że według niego nie byli to wcale protestujący rolnicy. „Nie wierzę, że zrobili to rolnicy, którzy rzeczywiście przyjechali tu protestować, ale do grupy protestujących rolników dołączyły się grupy prowokatorów, zamaskowanych osób” – powiedział marszałek i dodał: „Policjanci, którzy bronili dzisiaj naszego bezpieczeństwa, zasługują na nasze wsparcie. A chuligani, a nie żadni protestujący rolnicy, tylko zwykli chuligani, którzy dzisiaj rzucali kostką brukową, zachowywali się w sposób skandaliczny, powinni zostać pociągnięci do odpowiedzialności”. Również minister rolnictwa Czesław Siekierski podkreślał, że „za zamieszki na proteście nie można obciążać rolników. Na początku ten protest przebiegał w bardzo odpowiedzialny sposób. Rolnicy zachowywali się godnie. Wiemy, kto jest odpowiedzialny za upolitycznienie tego protestu. Takie upolitycznienie nie służy rolnikom. ”

Donald Tusk przyznał, że rolnicy mają silne argumenty. Zastrzegł przy tym, że „proponowane rozwiązania nie są może jeszcze spójne, a niektóre oczekiwania (...) z pewno-

ścią wygórowane”, ale zapewnił, że i rząd, i protestujący rolnicy mają jeden cel. „Wszyscy uwierzyliśmy, że jesteśmy po jednej stronie” – przekonywał premier po spotkaniu, zapewniając, że zarówno rząd, jak i rolnicy chcą ochrony polskiego i europejskiego rolnictwa. Wyjaśnił, że chodzi o to, by „ochronić polskie rolnictwo przed niesprawiedliwą decyzją o liberalizacji handlu z Ukrainą” oraz „realizować unijny Zielony Ład, ale nie pod przymusem”. Co dalej? Na to pytanie niestety nie mamy jeszcze odpowiedzi... ale z zawzięciem rolników i podejściem polityków na pewno niedługo ją poznamy.



<https://www.rmf24.pl/newsamp-wielki-protest-rolnikow-w-warszawie-trasa-godziny-utrudnieni,nld,7371078>



# Od maszyny dziewiarskiej do smartwatcha – czyli krótka historia komputerów

Paweł Kupisz

Dzisiaj każdy nosi przenośny komputer w kieszeni. We współczesnych smartfonach telefon jest jedną z wielu aplikacji, a nie osobnym urządzeniem. To wprost niesamowite, jaki skok technologiczny przeżywa ludzkość w obecnych czasach. Ale nie zawsze tak było. Nie tak dawno, bo około 50 lat temu, komputer to była skrzynka, która miała bardzo niewiele funkcji. A w czasach II wojny światowej szafy komputerowe wypełniały całe pokoje i miały mniejszą moc obliczeniową niż kieszonkowy kalkulator. A co było przedtem? Co było protoplastą komputera? Odpowiedź może wydawać się dziwna, ponieważ przodkiem komputera było... krosno!

A dokładniej maszyna Jacquarda (czyt. żakarda), która została wynaleziona w 1805 roku. Mechanizmy nicielnicowe, z których korzystano przed wynalezieniem maszyny Jacquarda, miały poważne wady: kierowały grupami nitki osnowy, co ograniczało możliwości kreowania wybranego przez artystę wzoru. Za to Joseph Marie Jacquard wpadł na pomysłowe rozwiązanie: na perforowanych kartkach zapisywano program, który sterował maszyną. Mechanizm umożliwiał kierowanie pojedynczymi nitkami, co pozwalało na tworzenie skomplikowanych wzorów, zgodnie z wyobraźnią artysty.

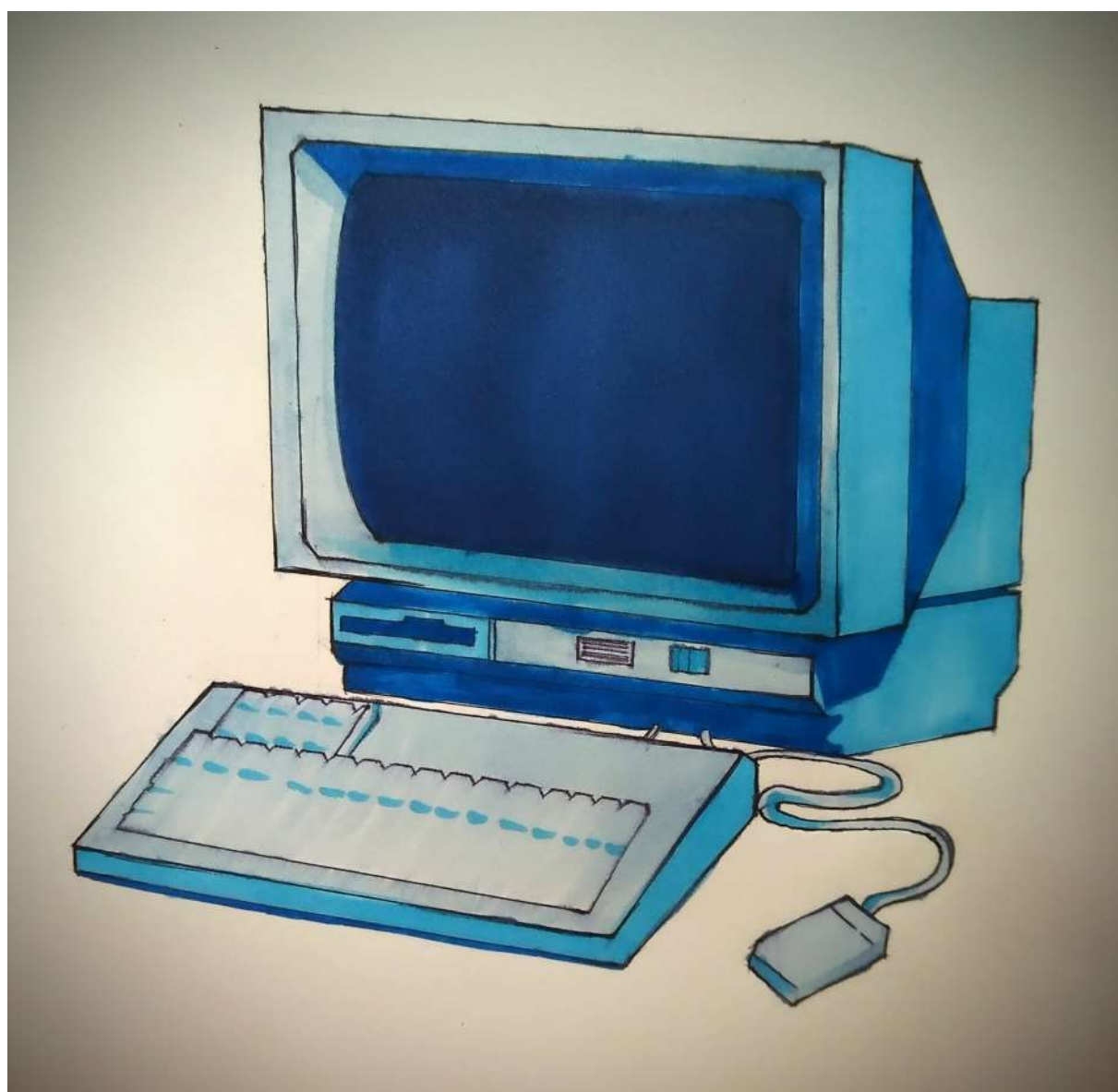
A o co chodziło z perforowaną kartką? To była sztywna, gruba kartka z wieloma miejscami na wykłucie dziurek. Każde takie miejsce odpowiadało za pojedynczy bit informacji, czyli zawierało odpowiedź 1 lub 0, tak albo nie. Wykłuta dziurka oznaczała 1, a brak – 0. To był pierwszy sposób na zapisywanie informacji, które byłyby zrozumiałe dla przyszłych komputerów.

Dalsza historia rozwoju komputerów miała związek z II wojną światową. Alianci potrzebowali urządzenia, które łamałoby szyfry nazistów, a szczególnie szyfry napisane przez maszynę Lorenza. Tak właśnie powstał Colossus oraz ENIAC – masywne zespoły szaf, w których znajdowały się elektroniczne urządzenia. Sam ENIAC zajmował powierzchnię 140 m<sup>2</sup> i ważył 27 ton! Służył do obliczeń balistycznych oraz do kalkulacji związanych z powstawaniem bomby jądrowej. Komputery okazały się tak przydatne, że po wojnie próbowano na tyle je zmniejszyć, by mogły być dostępne w biurach. W 1981 roku firma IBM zaprezentowała istną perełkę, czyli pierwszy Komputer Osobisty, który każdy mógł nabyć i mieć w swoim domu. Karty perforowane wyszły z mody – zastąpiła je pamięć wewnętrzna komputera ROM. Ówczesne komputery osobiste nadal wydają się nam przestarzałe – składały się z jednostki centralnej, klawiatury i monitora, który, nie oszukujmy się, mały nie był. Niemniej jednak to było duże ulepszenie w stosunku do ENIAC-a.

W futurystycznych powieściach Stanisława Lema z 1971 roku komputery są ogromne. Ale na początku XXI wieku nastąpiło coś, czego niewielu się spodziewało – technologię ogarnęła fala miniaturyzacji. Na scenę wchodziły powoli mikroprocesory i chipy kompute-

rowe, które zrewolucjonizowały dotychczasowy pogląd, że im większy rozmiar urządzeń komputerowych, tym większe możliwości. W 1999 roku firma Samsung wprowadziła na rynek hybrydę zegarka i telefonu. W 2008 roku zaprezentowano smartfon, który miał dotykowy ekran oraz różne aplikacje. A przecież jeszcze około 30 lat wcześniej korzystano wyłącznie z telefonu analogowego podłączonego kablem do gniazdka.

Dzisiaj postęp wcale się nie zatrzymuje. Mamy laptopy, które są podręczne, przenośne i szybkie. Mamy AI, które jest w stanie wykonać za nas coraz więcej zadań. A jak będzie wyglądał świat za kolejne 50 lat? Czy będzie bardzo się różnił od obecnych czasów?





## Parę wspomnień...

**Małgorzata Warzywoda**

Cztery lata w jednym miejscu skłaniają do refleksji. Było ich mnóstwo w tym czasie, lepszych i gorszych... Zmartwień i trosk nawet więcej, ale głównym pytaniem pozostaje: Czy było warto?

Czy było warto wejść w mury Smolnej i pozostać na jej łonie do końca?

Uważam, że tak.

Należy chyba zacząć od tego, że wybrałam profil humanistyczny wyłącznie dlatego, że nie lubiłam matematyki i przedmiotów ścisłych ogólnie. Jeszcze bardziej nie lubię się uczyć historii, ale o tym później... Nie zawiodłam się prawie żadnym przedmiotem. Na początku, jak wszyscy, miałam motywację, chciałam jak najlepiej wypaść, zrobić dobre wrażenie, ale szybko przyszła weryfikacja moich przekonań. Przede wszystkim rozpoczęło się zdalne nauczanie.

Można by pomyśleć, że to świetna okazja, ponieważ nie traci się czasu na dojazdy, można czytać, uczyć się lepiej, rozwijać. Otóż nie. Bardzo odczuwalny stał się brak kontaktu z ludźmi, brak możliwości wychodzenia z domu. Ogólnie rzecz biorąc, był to czas kombinowania. Nie chodzi mi tylko o kupowanie ręczników papierowych i przerabianie ich na papier toaletowy, ponieważ ten był wykupiony. Chodziło o to, jak się nie uczyć i nie dać się złapać. Wydaje mi się, że nadal podlegamy tej tendencji... Było trudno. Nigdy nie zapomnę, gdy na pierwszej lekcji języka polskiego p. Deniziak zaczął zafascynowany mówić o czasie akcji w „Dżumie”, wspominam to często. Nie będę się rozpisywać na temat pierwszego roku nauki za bardzo, ponieważ przyszłych roczników raczej nie czeka to samo, co nas. Na pewno stało się to ogromnym przeskokiem między realiami podstawówkowymi a realiami szkoły średniej. Inne wymagania, inne traktowanie. W końcu poczułam się traktowana na poziomie, który odpowiada mojemu intelektowi.

Z początkiem drugiej klasy nastał pewien spokój ducha, ponieważ przyświecała nam wizja powrotu do „analogowej” nauki. Nie na długo, ale szybko wróciliśmy do rzeczywistości. Było trudniej. Wymagania stały się bardziej złożone, nauczyciele jakby bardziej surowi. Przez to, że ominęła nas wycieczka integracyjna, nie udało nam się zgrać tak skutecznie, jak byśmy tego chcieli. Wyjazd do Łomianek na gry i zabawy niestety nigdy nie został nadrobiony, a szkoda. Powoli każdy z nas stawał się coraz bardziej przeciążony ilością materiału z każdego przedmiotu. Ciągłe zastanawialiśmy się, dlaczego musimy uczyć się chemii, biologii czy fizyki w klasie humanistycznej. Nie zliczę, ile razy kłóciliśmy się z nauczycielami przedmiotowymi, ile razy argumentowaliśmy, że „igdy w życiu nam się to nie przyda”, ale co trzeba było zrobić, robiliśmy. U mnie samej wtedy zaczęły się problemy. Musiałam korzystać z pomocy psychologa szkolnego, ale nie mogę powiedzieć, że bardzo mi to pomogło. Na pewno w znaczącym stopniu, ale to

nadal nie poprawiło mojej sytuacji. W gruncie rzeczy, z każdym nauczycielem mogliśmy się dogadać, ale nie aż tak dobrze, jak w następnym roku.

Trzecia klasa to czas wstępnych decyzji maturalnych. Trzeba było już powoli zacząć myśleć o przyszłości – rozszerzeniach maturalnych, studiach. Gdy mówiono mi jeszcze w kwietniu, że następny rok będzie spokojniejszy, nastała we mnie nadzieja na poprawę. Ach! jak się myliłam... Wtedy pomyślałam, że z roku na rok robi się coraz trudniej i nie wydaje mi się, żeby tendencja miała się zmienić. Na szczęście nie we wszystkich aspektach. Trudniej nie znaczy gorzej! Powiedziałabym, że nawet stało się ciekawiej ze względu na perspektywę dziejową omawianych tematów. Poza tym, udało się naszej klasie lepiej zintegrować, nauczyciele zaczęli powoli, ale odpuszczać, szczególnie ci prowadzący „michałki” (przedmioty nierozszerzone), a z tymi od rozszerzeń udało się już na dobre, chyba nie skłamię używając tego określenia, zaprzyjaźnić. Zaczęłam myśleć, że może to wcale nie taka zła szkoła: jest bufet, w którym można się napić kawy z rury, jest mikrofalówka, są śmierdzące toalety w szatni, ale to ma swój urok. Dawałam radę nawet znaleźć czas na własne hobby, czytanie innych książek niż lektury i wiem, że nie tylko ja. Widziałam wiele osób z rocznika chodzących z własnymi lekturami, a nie tymi szkolnymi.

To był czas już poważniejszych przemian intelektualnych i emocjonalnych – próg dorosłości, swobody ducha, wolności. Nastąpiło ukierunkowanie poglądów nie tylko politycznych, ale przede wszystkim tych na świat i samego siebie. Wyklarowały się różne ubiory, cechy charakteru oraz przekonania maturalne.

Nie uważam, żeby to był odpowiedni czas dla młodego człowieka na podejmowanie poważnych decyzji, które mają ukierunkować jego całe życie, ale należy sobie zadać pytanie, czy naprawdę są one tak ważne i czy mają jakiegokolwiek odbicie w tym, co będziemy prawdopodobnie robić w życiu? Ja uważam, że nie. Przecież nawet uczyliśmy się o wybitnych twórcach, nie tylko literatury, którzy mieli wykształcenie ścisłe.

Początek czwartej klasy, klasy maturalnej, to moment przełomowy. Nasz wychowawca powiedział nam na rozpoczęciu roku, że to będzie trudny, ale mimo wszystko spokojniejszy rok pod wieloma względami. Odpadły nam przedmioty ścisłe (nareszcie!) i presja wydawała się mniejsza. Niestety trzeba powiedzieć, że było to złudne wrażenie. Presja nadal jest obecna i wręcz niekiedy dominuje nad wszelkimi innymi uczuciami. Myślę, że nie byliśmy na to gotowi. Każdemu z nas zdarzają się załamania nerwowe, częściej i w sposób bardziej widoczny niż wcześniej, ale to chyba po prostu część rzeczywistości klasy maturalnej w każdej ze szkół. Pomimo presji i obciążenia materiałem, odczuwalnego pośpiechu, chcę powiedzieć, że jest nawet spokojnie. Większość z nas jest już dorosła i czuje się bardziej odpowiedzialna za swoje decyzje, co skłania do myślenia o nich bardziej. Nawet budujący jest widok kolegów uczących się na przerwach, ponieważ ma się poczucie, że przechodzą przez to samo. Tak samo pewnie nie przesypiają całych nocy, opuszczają niektóre zajęcia, aby douczyć się do niektórych sprawdzianów.

Tematy omawiane na lekcjach stają się jeszcze ciekawsze, ponieważ bezpośrednio łączą się z rzeczywistością, w której się znajdujemy – wojna i okupacja, współczesność, stan wojenny. Moim zdaniem to ciekawsze niż wojny napoleońskie.

Jest trudno, mamy poczucie, że nie wszystkie decyzje z góry są podejmowane z myślą o naszym dobru i wygodzie, jak to było w poprzednich latach, ale to poczucie dość

szybko mija. Mam nadzieję, że następne roczniki nie będą miały tego typu rozważań. Mimo wszystko znaleźliśmy swoje obszary, w których możemy czuć się swobodnie i odechnąć choć na chwilę.

Dla mnie istnieją dwa najtrudniejsze aspekty. Po pierwsze, dopiero teraz zainteresowałam się bardziej literaturą, kulturą i sztuką epok minionych. Chcę poznawać i studiować dzieła, co nieco, a zdarza się, że bardzo, koliduje z priorytetem nauki. Drugim aspektem jest stres. Dla mnie stanowi on ogromne obciążenie zarówno fizyczne, jak i psychiczne. Każdemu polecam wybranie się do specjalisty. Warto.

Stresujące już w marcu stały się przede wszystkim oceny i rychłe zakończenie roku szkolnego. Każdy chce mieć jak najwyższą średnią, więc stara się najlepiej, jak potrafi, lecz czasami jest to zwykła walka z wiatrakami. Jesteśmy w pewien sposób postawieni pod ścianą, ponieważ każdy chciałby, abyśmy zdobyli jak najlepsze wyniki, ale jednak zdarza się, że nam tego nie ułatwia. Jednak zdecydowanie większość nauczycieli jest przychylna, co ogromnie pomaga.

Słowem podsumowania, nie jest to łatwa rzeczywistość. Wybór tego liceum był łatwiejszy niż jego rzeczywistość. Trzeba jednak spojrzeć na to z innej strony: szkoła stoi wysoko w rankingu, uczniowie uzyskują świetne wyniki na maturze, a przy tym wszystkim nie ma obecnego „wyścigu szczurów”. Nie spotkałam się z sytuacją, w której wyniki danych jednostek byłyby ze sobą porównywane. Wielu nauczycieli jest świetnych, ale można spotkać też tych bardziej nieudolnych. Niestety tak wygląda sytuacja każdej ze szkół. Z każdym jednak można spokojnie ustalić drogę współpracy. To szkoła kształtująca zdecydowanie postawę, zgodnie z nazwą, ogólnie zainteresowanej osoby (czasami wbrew jej woli, ale jednak kształtuje; zalety tego odczuć można będzie pewnie dopiero lata po otrzymaniu świadectwa dojrzałości). Mimo niejednego załamania, ogromnych trudności i pretensji, z przyjemnością będę odwiedzać tę placówkę to miejsce.

## Zwycięzca w konkursie na Pióro Zamoyskiego

# Oziębłość Ducha ~ Hieronim Smutny

**Aleksandra Szlachciak**

Wyszedł. Kolejna kłótnia. Nie mógł wytrzymać jej łez.

Wyszedł. Powiedział jej, że musi zapalić, by się uspokoić. Nie musiał. Nawet nie wzięł ze sobą zapalniczki. Ale jak już musi tu stać, to może przynajmniej poczuć smak suchej końcówki papierosa w ustach.

Tym razem wyszedł tylko na balkon. Był co prawda jedynie w lekkim podkoszulku i szortach. W środku zimy. Ale nawet jeśli, to i tak lepiej, niż gdy ostatnio wybiegł na ulicę w podobnym stroju, a potem, próbując uciec od myśli kłębiących się w jego głowie, siedział ściśnięty między dwoma zapiętymi po szyję w pięć warstw zimowego ubioru jego-

mościami w cicho szemrzącym wagonie nocnego metra. Nie pamięta, gdzie wtedy pojechał.

Wyjął wymemłany papieros z ust. Posmak został na jego wargach. Spojrzał na pet w swojej dłoni. Zamachnął się i rzucił go gdzieś daleko w mrok uśpionego miasta. A raczej uśpionego na tyle, o ile miasto tej wielkości może spać. On przecież nie spał. Miał wielką nadzieję, że kierowcy w sunącym potoku światełek również nie spali.

Od tyłu padało na niego żółtawe światło z wnętrza mieszkania. Powinno dawać mu komfort, otuchę. Mógłby wrócić. Do niej. Ale nie chciał. To światło sprawiało ból, lecz nie ten rodzaj bólu, który on chciałby teraz odczuwać. Pomimo środka zimy, nawet w tak mroźnie nieprzystępną noc, nie czuł chłodu. Pragnął go poczuć. Oparł się o lodowatą barierkę balkonu. Poczuł ukłucie bólu w przedramieniu i dłoniach, gdy oparł ramiona na chropowatym metalu. Ten rodzaj bólu mu odpowiadał. Był czymś prawie przyjemnym, bo na chwilę zabijał ten inny ból, ten gorszy ból, ten, o którym nie chciał myśleć.

Spojrzał przed siebie na panoramę miasta, na dachy, okna, ulice, parę dających słabe światło latarni, którym urząd nie okazał zbyt wiele troski. Zaczął padać śnieg. Obserwował, jak wiruje on na delikatnych podmuchach wiatru. Podniebny balet poszczególnych płatków był prawie zamierzony, jakby zaplanowany. Zwykły wiatr nie ułożyłby takich linii, nie dorównał takiej precyzji, z jaką mijały się grupy śnieżnych gwiazdek. Ruch był teraz bliżej niego. Gdyby chciał, mógłby wyciągnąć dłoń i musnąć biały puch. Nie wyciągnął jej, zresztą nie musiał. Puch, niby piana, był coraz bliżej, dotknął jego skóry. Ramię mu drgnęło, gdy pierwsze płatki zaczęły się do niego przylepiać. Lepiły się nie tylko do ciała, ale i do ubrania, stawały się okrywą, gromadziły się gęsto, zaczynając od przedramion, kończąc pod szyją i nad kostkami. Były jak płaszcz, lecz nie dawały ciepła, jedynie osłaniały od podmuchów wiatru, którego smaganie nadal odczuwał na policzkach. Wiatr umilkł, a on stał w śnieżnym płaszczu. Opuszkami palców wyczuł, że płaszcz ten był jakby z piór, choć wiedział, że to tylko iluzja śnieżnego puchu.

Przesuwał dłońmi po płaszczu zafascynowany miękkością. Zdumienie. Tak, to teraz czuł. Zdumienie jest zgoła inne od apatii. To dobrze.

Był tym bardziej zdumiony, że wiatr powrócił nagle. Z początku delikatny, potem mocniejszy. Potem nie mógł oprzeć się jego sile. Jakby jakaś dłoń pchała go bliżej żeliwnej balustrady i w górę. Poza balkon. Nad miasto.

Uniósł się.

Śnieg też wrócił. Unosił się razem z nim. Cudownie miękki płaszcz falował.

Wirujące płatki były coraz bliżej. Przesłaniały mu widok dachów bloków. Przesłaniały mu światła ulic. Przesłaniały wszystko. Były wszędzie. Widział tylko błękitną biel.

A potem czerń.

\*\*\*

Otworzył oczy. Leżał na plecach. Czuł puch otulającego go płaszcz. Patrzył w czyste arktycznie błękitne niebo. Lazur ogarniał całe jego pole widzenia. Znajdował odbicie w jego niebieskich oczach.

Otrząsnął się. Musiał wstać. Zaczął się podnosić. To, na czym leżał, było twarde, stałe, niewiarygodnie równe. Jak blok wygładzonego marmuru. Kostka szkła. Stanął na no-



gach. Spojrzał w dół na taflę. Taflę równie czystego jak niebo lodu, odbijającego bezchmurny lazur. Podniósł wzrok.

Zewsząd otaczał go lód. Cały świat stanął się jednym blokiem wypolerowanego lodu. Żadnych szczelin, żadnych wgłębień, żadnych rys. Lód rozciągał się przed nim jak bezgraniczne morze, gdy wszelki pomruk wiatru zamilknie.

Wybrał kierunek na chybił trafił. Przecież musi zacząć iść. Pustka oferowała zbyt dużo miejsca na niego. Na jego myśli. Umysł zaczynał biegać, więc on musiał zacząć iść.

Szedł więc. Przed siebie. O dziwo lód nie był śliski. Nie topił się, gdy po nim stąpał. Był niczym płyta z metalu. Każde dotknięcie lekko mrowiło go w podeszwy nieobutych stóp. Czuł prawie chłód, ale daleko mu było do zimna. Gdzie on jest? Nie myśl, idź. Lodowa pustynia nie dawała takich ograniczeń jak świszczące, skrzypiące miasto. Musiał iść. Wreszcie, gdy spojrzał, zobaczył.

Daleko przed nim lód przestał być gładką taflą. Obejmował coś. Obiekt, duży obiekt. Szedł dalej. Statek. Szedł dalej. Lodołamacz. Rzeczywiście łamał lód, ale w przeszłości. Teraz był otoczony przez szklący materiał z każdej strony, wybrzuszając go jedynie przy czubku kadłuba. Był to kolos. Stalowy gigant pogrzebany wśród większego giganta. Ogromu lazurowego oceanu, po którym nie może już płynąć. Podeszedł bliżej. Patrząc z dołu na poległego tytana, zdawało się, że koniec masztu smagałby pięty samego Boga, gdyby ten chciał panować nad tym pustym lustrzanym światem. Wokół masztu latały mewy, wybijające się na tle lazuru swoją czernią.

Statek był jedynym punktem odniesienia. Prawie zappełniał pustkę, gdyby spojrzało się i bliżej, i głębiej. Mógł być przydatny, gdyby on umiał dostać się na pokład. Z tej strony kadłuba nie umiał na pewno. Zaczął obchodzić truchło. Wrak olbrzyma milczał wśród ciszy płaskiego kryształu. Od przodu wydawał się mniej boski. Może dlatego, że wybrzuszony lód zakrywał głęboki granat nitowanych płyt pokrycia. Może po prostu wszelki zachwyt był tylko pierwszym wrażeniem. Wrażeniem niknącym w apatii.

Obszedł przód i skierował się wzdłuż sterburty. Zauważył czarną plamę u podnóży statku. Dwie plamy. Stopy zaczynały mrowić bardziej. Plamy się wyostrzyły. Szedł dalej. To byli ludzie. Siedzieli obok siebie oparci o kadłub lub załamani o własne kolana. Nie, to nie ludzie. Już nie. Ale nimi byli. Teraz to tylko dwa obszarpane przez ptaki do kości trupy. Trupy marynarzy. Jeszcze w grubych kurtkach, widocznie przymarzły one do ciała. Dwójka była złączona z taflą. Podeszedł, ale nie chciał dotykać. Ciemnoczerwone stroje odbijały się w lustrze, na którym kiedyś siedli marynarze. Siedli i już nie wstali.

Patrzył na nich. Stał w bezruchu. Poczuł, że powinien ich zostawić. Zbyt naruszył ich lodowy grobowiec. Musiał iść dalej. Zapomniał o wchodzeniu na pokład lodołamacza. Myśli biegle. Rodził się smutek. Malarz jego wyobraźni malował szare fale. W uszach słyssał szum. Ciche świsty jakby szepty. Zachwiał się.

Chciał być w innym miejscu. Na balkonie. Nie na balkonie. Tam. Tam... Nie. Musi iść.

Nie wróci tam, dopóki piekło nie zamarznie. A piekła nie ma. Będzie tylko śmierć, złapie go ona w objęcia, nie wypuści; jak dwóch marynarzy.

Szedł przed siebie. Pulsowanie bosych stóp przypominało ból. Może zaczynał czuć zimno. Może nie. Spojrzał w dół.

Widział swoje odbicie w idealnie gładkim kryształ. Ale widział coś jeszcze, niewyraźnie, głęboko w lodzie kształt. Kolejne parę kroków. Więcej kształtów. Są bliżej. Szedł dalej. Więcej. Dalej. Mnóstwo. Ludzie. Pod lodem; niby rzeźby, czekający, pogrzebani w kamiennym grobie, marmurze lodu. Byli wyżej od poprzednich. Bliżej tafli, ale nadal dosyć głęboko. Widział teraz twarze. Wyrażały ból. Chciał czuć ból. Cierpienie. Chciał cierpieć. Chciał zamarznąć jak one. Czuć agonię i nie czuć nic.

Większa postać. Najbliżej tafli. Tylko metr pod nią. Nawet odbicie pełni lazuru nieba nie mogło jej skryć. Prawie ludzki. Ale to monstrum. Jego twarze nie wyrażały cierpienia. Ledwo co mogły coś wyrażać. Jeżeli już to rozkosz z pożerania trójki ludzi. Ponurą rozkosz.

Zauważył twarz niepozerającą. Czwartą. Przed chwilą jeszcze jej nie było. A teraz patrzyła prosto na niego. Przez lód. Przez ciało. Przez duszę. W tej chwili wydało mu się, że ją ma. Lęk. Lepszy niż apatia. Strach. Chciał biec, nie mógł. Udało mu się tylko ruszyć ciałem.

Poślizgnął się. Fioletowe pulsowanie. Stopy odmówiły posłuszeństwa umysłowi. Umysł odmówił posłuszeństwa jaźni. Upadł.

Rozbił tafle.

Lustro pękło.

Wyciągał rękę. Chwytał lód. Nie mógł złapać. Woda. Wszędzie woda. Tonie.

Woda jest lodowata. Próbuje łapać oddech. Trzęsie się. Tonie.

Osuwa się niżej i niżej. Jest sam. Nie może się ruszyć. Tonie.

Panika. Nie. Czuje... czuje dziwny spokój. Przecież tonie. Nie może nic zrobić.

Zamknął oczy.

\*\*\*

Ciemność. Nie chciał otworzyć oczu. Jego płaszcz był mokry. Ale wokół było zimno. Puch śniegu pokrył się kawałkami lodu, których ukłucia drażniły jego skórę. Siedział. Był oparty o chłodną ścianę. Otworzył oczy. Szron na rzęsach zakrywał obraz. Pomrukał. Rozejrzał się.

Przyćmione światło białych jarzeniówek oświetliło przestrzeń wokół niego. Był w metalicznym pudełku. Puszcze. Pełnej cieni. Co chwila cieni było więcej. Jarzeniówka tuż nad nim migotała, powoli dogorywając w tej nieludzkiej przestrzeni.

Było w tej puszcze coś jeszcze. Stalowe regały pełne pudeł i coś jeszcze. Chłód. Szron pokrywał każde załamanie powierzchni. Biel odcinała się od ciemnoszarych ścian.

Chłód. Czuł go. Przeszywał go od stóp. Przeszywał go od pleców opartych o ścianę. Trząś się, lekko, coraz mocniej. Umysł podpowiedział mu wreszcie słowo. Chłodnia, a z chłodni powinno być wyjście. Musi stąd wyjść, tak nakazuje rozsądek. Czuł zimno.

Powoli wstał. Wzdrygnął się, gdy dotknął dłonią blachy. Była porowata, znaczone delikatnymi pionowymi pręgami. Zupełnie inna niż lód z pustyni. Tu też było pusto. Też był sam. Chmura bladego oddechu przesłoniła mu widok na jedną ulotną chwilę. Musiał zlokalizować drzwi do tej metalicznej celi. Szron kształtował się w ich obrysie. Tylko parę kroków przed nim wykrojona kryształkami klamka. Dokuśtykał. Ból. Impuls. Ścisk. Nie mógł. Upadł, chwytając się jej, opierając na niej cały swój ciężar, na niej i bezwładnych kostkach. Przysunął się siłą ramion. Na klęczkach znalazł się pod drzwiami.

Nacisnął i pchnął. Kamień. Nacisnął i pociągnął. Góra. Nacisnął i zapał się całym ciałem. Syzyf. Był zamknięty. Zaczął walić w grubą stal. Walił, aż obie pięści pokryły się szkarłatem krwi. Było zimniej.

Wilgoć wewnątrz jego nozdrzy zaczęła zamarzać. Oddech. Za wolny. Zbyt płytki. Za mało widoczny. Obłok pary rozpływał się momentalnie. Wstrząs za wstrząsem. Musiał pobudzić znajdujące się nadal w jego wnętrzu ciepło. Pulsowanie w nogach i poranionych dłoniach cichło. Umysł wrzeszczał.

Nie mógł już się podnieść. Z trudem przyciągnął zgięte nogi do torsu. Nie czuł, gdy je przyciągał, jego ręka nie czuła, gdy jej używał.

Jarzeniówka migotała szybciej, niż biło mu serce. Już nie tylko ta jedna. Wszystkie migotały. Chyba. Raczej on walczył, aby utrzymać otwarte oczy. Światło, ciemność, światło, mrok.

Biegł. Nie on. Jego myśli, umysł. Nie chciał tu być. Nie mógł uciec. Chciał być... tam.

W myślach widział miasto. Unosił się nad nim. Potoki światła mniej gęste im bliżej do trzeciej w nocy. Śnieg wirujący wokół niego w podmuchach wiatru. Ale teraz było zimno. Mróz wkładał się wszędzie, do każdej cząstki jego istnienia. Wiatr nim obrócił. Patrzył na balkon, z którego wyfrunął. Na światło... Miedziany blask padał na posadzkę. Miodowy płomień przerywany ciemnymi wstęgami balustrady balkonu. Uniósł wzrok o ledwie parę centymetrów. Spojrzał w odrzwia balkonu.

Wiedział, że ona tam jest. Ona. Siedzi i płacze jak poprzednio i poprzednio, i poprzednio.

Chciał być tam. Z nią. Ale umierał. Spadał. Zamarzał. Tonął. Trzęsący się oddech gasł razem z jarzeniówką.

Mrok.

Cisza.

\*\*\*

Cisza.

Szmer.

Pomruk.

Pomruk ulicy. Szum samochodów. Miasto, które jednak nie śpi, które nigdy nie spało, tak, jak on nie spał. On tylko siedział. W szortach. W podkoszulku. Okryty śniegowym puchem, płaszczem z delikatnych płatków. Napadały, gdy siedział w bezruchu oparty o żeliwną balustradę balkonu.

Wdech. Lekkie spazmy. Wydech. Chmura skondensowanych kropel. Rozwiął ją wiatr.

Siedział skąpany w złocistym świetle. Potoki pszenicznego nektaru opływały jego sylwetkę. Czas wstać. Teraz chciał. Wiedział, że chce. Umysł nie biegł. Już nie. Teraz stąpał.

Powoli. Po gładkiej jak lustro posadzce. Sięgnął po klamkę.

Wrócił do niej. Do światła. Do ciepła. Ciepłej. Ciepłej. Ciepłej.

Wszedł. Pierwsze pojednanie. Tym razem osuszy jej łzy.



# Strefy Dyskomfortu

**Aleksandra Szlachciak**

Wyszło słońce. Już nie jest ani szaro, ani buro, ani ponuro. Choć znając polską sytuację meteorologiczną, taki stan rzeczy utrzyma się może do jutra, albo dzisiaj wieczorem. Najprawdopodobniej już wczoraj uległ zmianie i to jest tylko wspomnienie słońca kreowane przez upartą podświadomość, która chce po napisaniu artykułu wyjść na spacer. W każdym razie pogoda taka jak dziś idealna jest na rower, prawda?

Ja na rowerze nie jeżdżę, a przynajmniej tak mi się wydawało, gdy ostatnio po długim namawianiu z piskiem udało mi się wejść na rower i utrzymać równowagę na oszalałymi 9,5 sekundy. Ale gdy już zaczęłam jechać, pomimo dobrych pięciu/sześciu lat przerwy od dosiadania podobnego metalowego rumaka, poczułam przypływ adrenaliny i dreszczyk emocji (razem z innym dreszczykiem, bo najcieplej nie było). Obaliłam ściany strefy komfortu i zaskakująco dobrze się bawiłam, pomimo faktu, że nieomal potrafiłam dwie staruszki i pana z czekoladowym ratlerkiem w różowym sweterku. Pod koniec jazdy, jakby spojrzeć pod odpowiednim kątem, jechałam w kierunku zbliżonym do „prosto”, a nawet wykonałam karkołomny (całkowicie zamierzony) slalom wokół ulicznych słupków. Doświadczenie warte powtórzenia, a jednak wymagało wyłamania się poza utartą rutynę, pewien schemat myślenia o własnych możliwościach. Podobnie jest z różnymi aspektami życia, nie tylko z trikami na dwukołowcach, ale również w sztuce, którą chcesz tworzyć, w kontaktach z drugim człowiekiem, w tym, co akurat wybierasz na śniadanie i czy w ogóle o nim pamiętasz.

Pomiędzy poprzednim a tym akapitem wysiadł prąd. Czysto losowe zdarzenie (czyt. ktoś bawił się w małego elektryka), ale powoduje, że musimy stawić czoło zmianie toru ruchu. Zmieniamy to, jak ułożyliśmy sobie plan dnia, jak wypełnimy obowiązki, a wszystko po to, by wcisnąć między przegródki sytuację, z którą po prostu trzeba sobie poradzić. Dyskomfort wydarzenia wypycha nas z wewnętrznego fotela, a my musimy dojść do porozumienia z *panta rhei* naszego świata.

Zmiana pod wpływem czynników jest czymś czysto ludzkim: adaptacja działa jak ewolucja, a tak jak w świecie natury przetrwają tylko ci najlepiej przystosowani, tak i ludzie sięgający dalej niż inni mogą osiągnąć więcej. Warto jednak pamiętać tu, że opuszczanie bezpiecznej, możliwej do kontrolowania strefy może mieć diametralnie różne efekty, na które jednak musimy być przygotowani. Albo musimy je zaakceptować bez przygotowania. Wszystko powiązane jest z ryzykiem, o czym, w myśl ryzyk-fizyk, matfizyk wiedzą najlepiej. Każda akcja powoduje reakcję, chociaż czasem trudno ją przewidzieć. Mogłam się dobrze bawić na rowerze, a mogłam złamać obie nogi, rękę, obojczyk i palec wskazujący ręki drugiej.

Przeigrana zawsze jest możliwa, nie można jej wykluczyć, ale celem próbowania nowych rzeczy i wracania do starych jest poszerzanie naszych horyzontów. Otwieranie furtek strefy komfortu, nie na oścież, ale tak by od czasu do czasu mógł na naszą polankę wskoczyć zajęczek lub wbiec ratlerki wyposażony w różowy element garderoby. Co jakiś czas możemy ją zamknąć, gdy poczujemy zagrożenie. Potrzeba obrony przed nieznanym jest

normalna, ale lęk pokonać można jedynie poznaniem do tego stopnia, do którego czujemy się w stanie dotrzeć. A potem z powrotem, a potem trochę dalej niż poprzednio. Krok za krokiem, by odkrywać nowe możliwości. Może się nie udać, ale to, co poznaliśmy, już zostało nasze.

W życiu, jak i w sztuce potrzebny jest tylko pierwszy krok.





# Czerwone dżdżownice

Pasożyt

Po tym, jak mama wyjeżdża na konferencję do stolicy, a ciotce Róży wybucha noga, tata musi nas zabrać ze sobą do pracy. Dzień pierwszy nowego porządku zaczyna się pobudką o godzinę wcześniej, bo tata – jak to tata – zawsze się dokądś spieszy. Ubieramy się w to, co chcemy, skoro tylko możemy ubierać się sami. Wkładam ulubiony sweter, tymczasem Zefiryn spogląda do mojej części szafy, wyciąga wieszak obwieszony trzema kurtkami i wkłada dwie, jedna na drugą. Nikt oprócz mnie nie zauważa tego do końca dnia.

Tata nie umie gotować – jemy bułki z mlekiem. Mamrocze coś o tym, że zdrowe jedzenie jest dla dzieci w naszym wieku bardzo ważne, stojąc oparty o wyspę kuchenną i jedząc zimne tosty z serem. Popija gazetę kawą, kiedy my plujemy szarą papką nad stołem, krztusząc się ze śmiechu. Ciotka Róża nie pozwala pluć nigdy i na nikogo, korzystamy z chwilowej wolności. Jak zwierzęta, tata mruczy spomiędzy łamów i bierze długi łyk z ulubionego kubka. Bardzo głośno siorbie.

Pakuje nas do samochodu na tylne siedzenia. Któreś z nas zostawia beżowy ślad na obiciu fotela, szereg brudnych linii będących idealnym odbiciem podeszwy. Wyjeżdżamy.

Za oknem przez prawie pół godziny przewijają się łyse gałęzie i słupy telefoniczne, z których zwisają kable i jeszcze więcej gałęzi.

- Dokąd jedziemy? – pytam, oczekując konkretnej odpowiedzi.

- Do pracy – pada odpowiedź. Nie odzywam się aż do końca drogi, oznajmionego piskiem opon i gwałtownym uderzeniem moją twarzą o fotel pasażera.

- Miałaś się zapiąć!

- Zapięłam się! – wrzeszczę, pokazując pas przecinający na ukos mój ulubiony sweter. Zefiryn sam dostaje w twarz, ale śmieje się.

Wysiadamy na dawnym rynku. Kurz spod butów poznaje nowy rodzaj kurzu, miejscowy wariant. Przed nami stoi opuszczony budynek mieszczący niegdyś ratusz, za nami rosną stare dęby i rzędem posadzone cyprysy. Po prawej z placu ciągnie się droga, którą przybyliśmy, po lewej stoją jeszcze dwa samochody i jedna wysoka postać.

Trudno orzec, czy to Pan Kondensator – ten, który kondensuje zabytki – usztywnia swoją osobą garnitur, czy to garnitur go usztywnia swoim krojem i dobozem dodatków. Może to przez twardy, świeżo prasowany kołnierz otoczony krawatem, a może przez jego długą, chudą, wygoloną do zera twarz.

- Dzień dobry – mówi. Podchodząc do nas, wznosi chmurę pyłu. Przyjaźnie podaje tacie rękę, przyjaźnie podaje nam ręce. Mieliśmy już okazję się spotkać, tylko nic z tego nie pamiętamy.

- Dobry – odpowiada tata, oglądając się. Tu zaczynamy? Pyta i pokazuje na ratusz.

- Nie, odpowiada mu Pan Koagulator – ten, który koaguluje zabytki. – Proszę za mną - mówi. Idziemy w kierunku drzew, za którymi kryje się mały, zarośnięty kościółek.

Kościółkowa elewacja jest nijaka – szarawa, może dawniej była biała, trochę nierówna. Ciemny, dziurawy dach w słońcu wygląda jeszcze na brązowy. Dzwonnica stoi obok, niska i pozbawiona dzwonu. Ścieżka z kostki brukowej rozłazi się trochę przy brzegach,

przebijają przez nią trawa i piach. Wszystko trochę wybrakowane. Bez wątplenia minęły już dawno najlepsze lata tego miejsca.

Za Panem Komplikatorem – tym, który komplikuje zabytki – wchodzimy do środka przez okute metalem drzwi i metalową kratę do lekko nadgryzionej małutkimi ząbkami konstrukcji. Zefiryń z samego środka głównej nawy gapi się w malowane gwiazdy na suficie, ja przeskakuję zawieszony od belki do belki marny łańcuszek i wbiegam po trzeszczących schodkach na chór.

Z balkonu ogrodzonego próchniejącymi deskami zwisają zwinięte truchła pajaków, a dźwięk rozchodzi się po całym wnętrzu. Zdzieram sobie tego dnia gardło.

- Jednego normalnego pośród Kamieńskich – wzdycha Pan Kompilator – ten, który kompiluje zabytki – i wraca do rozmowy na tematy związane z ruiną, jakby myślał, że nic nie słyszę.

Z tatą przejeżdżają palcami po ławkach i podnoszą do oczu szare opuszki. Podchodzą do ołtarza, gdzie tymi samymi opuszkami pokazują na dziury w blacie. Skądś pojawia się obok nich ksiądz w koszuli w kratkę. Słysząc różne słowa.

Schodki nie trzeszczą pod Zefiryń. Przystaje obok mnie, wyraźnie już znudzony pogryzionym sufitem. Chcę wracać, mówi mi. Ja też, odpowiadam mu. Tata odwraca się do nas, odwracają się do nas Pan Kqwertyator – ten, który kqwertyuje zabytki – i ksiądz w kratkę. Z chóru słysząc każdy najcichszy szept, a my nie silimy się nawet na cichy ton.

Mama konferuje przed mikrofonami w stolicy, ciotka walczy w szpitalu z własnymi nogami, my siedzimy przy wejściu na dzwonnice z patyczkami po lodach w ustach. Lody właściwe wyrzuciliśmy właśnie z opakowaniami w krzaki, a brudne ręce wycieramy o ubrania. Patrzę, jak Zefiryń wciera smak śmietankowy w wewnętrzną kurtkę. Tyle zostaje po przymusowej wycieczce do najbliższego sklepiku. Za zimno na lody, protestujemy, prowadzeni z powrotem pod kościółek. Jak szczury na smyczy.

Oglądamy z rezygnacją mrówki defilujące parę metrów od nas między kostką i kawałkami szkła. Wychodzą w kopczyków z żółtego piasku sypanego w szpary, zachodzą gdzieś w okolicę opakowań, wreszcie wracają i wchodzą z powrotem do dziury. W tym czasie tata i wesół kompania wychodzą przez metalową kratę i okute metalem drzwi, i podbiegają do ratusza, wznosząc za sobą brudną chmurę. Nie odwracają się nawet, żeby sprawdzić, czy nadal jesteśmy. Oglądam drugi budynek z daleka, dopóki brat nie szturcha mnie łokciem.

- Patrz – pokazuje wymiętym patyczkiem, wyjętym przed chwilą z ust. Na kostce pojawiają się długie, czerwone robale przypominające suche dżdżownice. Pełzną przed siebie, rozganiając mrówki na wszystkie strony, zatrzymują się pod naszymi stopami i bezceremonialnie wgryzają się w kamień. Znika w ziemi, zostawiając dziurkę ozdobioną małutkimi śladami ząbków.

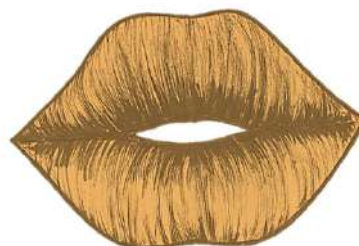
Podnoszę wzrok. Tam jest więcej, zauważam. Na elewacji kościółkowej formuje się czerwony wzór z masy robaków. Zdaje nam się, że słyszymy szmer kruszonego tworzywa. Pod naszymi butami formuje się mrówczy krąg.

- Beznadziejna sytuacja – mówi przygnębiony tata.

Wymieniamy z bratem spojrzenia, sięgamy do kieszeni i wymieniamy się dżdżownicami. Tak, żeby tata nie widział. Nic z tego nie będzie, nie da się odrestaurować, wszystko przepadnie, powtarza i przyspiesza.

- Beznadziejna sytuacja – mówi jeszcze raz. I kolejny. Beznadziejna.

# Złote usta



„Są trzy kategorie uczniów: rezydent, bywalec i mentor”

P. Prof. L. Kozłowski

„To nawet nie był błąd, to był wielbłąd”

P. Prof. L. Kozłowski

„Takie gadanie: Polska dla Polaków, ziemia dla ziemniaków”

P. Prof. L. Kozłowski

„No spróbuj sformułować jakieś zdanie, które miałyby sens.”

P. Prof. L. Kozłowski

„Jeszcze do Sochaczewa muszę jechać. Po co jechać, jak ja wolę siedzieć? Tak mi wygodnie”

P. Prof. E. Schab

„No to już chyba można zebrać, bo się napatrzyliście. Chociaż tu nie macie na co patrzeć”

P. Prof. M. Kędziora po oddaniu kartkówek

„Jak to jest z małżeństwem? No patrz. Ile tu jest kuleczek? Jak początek małżeństwa, to dwie, a jak później w małżeństwie, to już trzy”

P. Prof. M. Deniziak

„Podpunktik; w przypadku osobowości neurotycznej cele są zwykle trudne; przecineczek; nieproporcjonalne do możliwości; kropeczka”

P. Prof. M. Deniziak z nowymi metodami dbania o poprawną interpunkcję w zeszytach uczniów

„Prostytutki są najdziwniejszą grupą społeczną”

P. Prof. P. Poniatowski